



Z **WARSZAWY**
DO **SERCA**
TYBETU

Tu korzystanie z Google'a czy Facebooka jest zakazane. Internet nie zna takich słów jak: demokracja, prawa człowieka, dyktatura, antykomunizm. Maja Wolny odkrywa Tybet, który przez wieki był zamknięty dla świata. Kolejną Transsyberyjską, następnie Transmongolską i wreszcie Tybetańską dociera na Dach Świata – do Tybetu. Mija setki miast i miasteczek. Zapisuje, co widzi, relacjonuje spotkania z mieszkańcami.

Podróż przez Syberię, bezkresne stepy Mongolii i zatłoczone Chiny to tygodnie trudnych, ale także niezwykłych doświadczeń w zmieniających się pociągach. Ostatni odcinek to nieporównywalna z niczym przygoda: szokująca dla organizmu jazda na wysokości ponad 5000 m n.p.m. omdlenia, brak tchu – to tutaj coś normalnego.



Fragment książki

Z kuchni wydobywają się smakowite zapachy, a ja wyglądam przez okno, obserwując pełne modlitewnego skupienia twarze Tybetańczyków. Widzę piękną młodą kobietę, ma jakieś metr siedemdziesiąt wzrostu, co oznacza, że o głowę przewyższa przeciętną Tybetankę. Jest szczupła, jedynie lekko wypukły brzuch przypomina, że niedawno została matką. Małeństwo drzemie w nosidełku na plecach. Kobieta w jednej ręce trzyma plecioną siatkę z zakupami, w drugiej sznur modlitewnych paciorków zwany mala.

Jej palce przeskakują miarowo z koralika na koralik w bezgłośnej medytacji. Ktoś ją zaczepia, znajoma podziwia śpiące dziecko. Młoda matka uśmiecha się promiennie. Palce nieruchomieją na paciorkach, stawia siatkę na ziemi. Kobiety rozmawiają. Obie są ubrane w tradycyjny sposób, jak przystało na mężatki: na głowie mają kapelusz, a na sięgającej kostek spódnicy tybetański fartuch w paski, bangdian.

Nie mogę oderwać wzroku od promieniejącej twarzy matki, która po skończonej rozmowie wraca do modlitwy i zakupów, z tym samym, pełnym zadowolenia wyrazem twarzy. Kiedy przystaje przed kolejnym handlarzem, na chwilę chowa małą do kieszeni spódnicy. Wybiera towar, płaci, rusza dalej. Żałuję, że znika mi z oczu w tłumie kupujących i jednocześnie karcę się w myślach za to, że już zdążyłam naiwnie wyidealizować życie tej kobiety. Dobrze wiem, jak musi być ciężkie. Już Gonbodżab Cybikow na początku XX wieku zauważył, że brak mężczyzn w świeckim życiu mieszkańców tego kraju powoduje większe obciążenie kobiet utrzymaniem gospodarstwa domowego.



„Kobiety z Tybetu Środkowego – pisze badacz – od wieków borykając się z nędzą, usamodzielniały się w znacznym stopniu i potrafią radzić sobie bez pomocy mężczyzn. Kobiety są główną siłą roboczą w kraju i trudno znaleźć taką dziedzinę, w której nie odgrywałyby znacznej roli (...). Są handlarkami i sprzedawczyniami w sklepach, często samodzielnie prowadzącymi znaczne interesy, są robotnicami na polach, pracują przy budowie domów, są prządkami

i tkaczkami przy wyrobie miejscowych wełnianych materiałów, terminują w drukarniach, kuźniach, warsztatach ślusarskich, w fabrykach wyrobów skórzanych, noszą wodę, sprzątają nieczystości we wsiach i miastach, są stróżkami i dozorczykami w państwowych i społecznych instytucjach”.





Prawdopodobnie i ta ładna kobieta musi ciężko pracować, żeby związać koniec z końcem. Zapewne będzie ją stać tylko na jedno dziecko. Choć w Chinach nie ma już tak sztywnych ograniczeń prokreacyjnych, a rodziny z tybetańskiej prowincji mogą mieć troje dzieci, rzadko się to zdarza właśnie z powodów finansowych. Od Samtena, Tybetańczyka po czterdziestce, w sezonie dorabiającego jako tłumacz, wiem, że życie w ostatnich latach zrobiło się drogie.

– Tylko Chińczykom powodzi się dobrze w Tybecie – opowiadał, bawiąc się małą z bordowych paciorków okręconą wótkół nadgarstka.

Jego angielszczyzna jest daleka od doskonałości, ale on sam – bardzo rozmowny. Mówi całym ciałem, a jego gesty wypełniają luki, w których brakuje słów. Podstawowe wyrażenia związane z turystyką opanował w hotelu, gdzie kilka lat temu pracował.

– To Chińczycy są właścicielami wszystkich biznesów – dodaje.

Jego zdaniem sprzedawcy celowo podnoszą ceny jedzenia w sklepach – mogą sobie na to pozwolić, bo mają korzystne umowy z Pekinem. Kupowanie na targu to rozsądne wyjście w tej sytuacji. Najprawdopodobniej piękna nieznajoma przybyła na targ do Lhasy z małej wioski (świadczyłby o tym jej tradycyjny strój) i pewnie też zmagają się z trudnościami finansowymi. Jak tylko odchowa dziecko, pójdzie do kiepsko płatnej pracy w barze lub hotelowej pralni. Szansa, że jej mąż dożyje pięćdziesiątki, jest stosunkowo niewielka. Mnóstwo Tybetańczyków z prowincji zapija przerastające ich problemy dnia codziennego winem jęczmiennym. Alkoholizm staje się chorobą społeczną.

O wiele łatwiej jest spotkać na ulicach Lhasy starą kobietę niż mężczyznę. Drobne siwowłose Tybetanki mają długie, cienkie warkocze i plecaki na pochylonych barkach. W ten sposób ręce pozostają swobodne, palce mogą się skupić na mali i obracaniu młynków modlitewnych. Trudno odgadnąć ich wiek. Mogą mieć lat 40, 60, nieskończenie wiele. Ich beczasowy kolorowy strój i wysuszona skóra skrywają tajemnice. Czasami taka bezzębna staruszka podaruje mi swój uśmiech, pozdrowienie, a może nawet i błogosławieństwo – gest wzniesionych w górę rąk i bezgłośny szept.





„Stolica Tybetu jest miastem pełnym życia, zamieszkałym przez ludzi do-
broduszných, którym przebywanie poza domem sprawia wielką przy-
jemność. Z tego powodu, mimo iż zaludnienie Lhasy jest niewielkie, uli-
ce są zatłoczone od wschodu do zachodu słońca” – pisała Alexandra
David. Tybetańczycy mają często nieobecny, rozmodlony wyraz twarzy.
Mam wrażenie, że cały czas dokądś pielgrzymują – ciągną ulicami stoli-
cy w grupkach, przybywają z odległych prowincji. Wszędzie jest daleko,
bo w Tybecie wciąż nie ma dobrych dróg. W ostatnich latach powstało
kilkaset kilometrów nowych ekspresówek, ale one raczej nie służą przy-
bywającym z gór pątnikom.



– Jesteśmy powolni – opowiadał mi wczoraj Tybetańczyk Kendi, który zawoził mnie z dworca do hotelu. – To nas różni od Chińczyków. Oni się spieszą, spieszą się do pieniędzy. Chcą mieć szybkie drogi, akurat to mi się podoba. Dla nas pieniądze nie są istotne. Znacznie ważniejsze są sprawy duchowe, modlitwa.

Kendi – jak wielu innych mężczyzn z prowincji – przyjeżdża w sezonie turystycznym do Lhasy, żeby pracować jako kierowca. W połowie października wraca do swojej wioski u podnóża Mount Everestu. Wychował się w jurcie, bez elektryczności i bieżącej wody. Jego rodzina wciąż mieszka w tej samej wiosce, ale w drewnianym domku. Mają światło i wodę. Jedyne, co się nie zmieniło, to ogrzewanie – wciąż używa się do tego celu odchodów jaków.

– Jak to nasze najważniejsze zwierzę – mówi Kendi z au-

tentycznym przejęciem. – Gdyby jaki wymarły, to i my byśmy wymarli. Jego rodzina ma pięć jaków i kilkanaście owiec. Co roku w listopadzie zabijają jednego jaka, żeby przetrwać zimę.

– Jako buddyści staramy się nie zabijać żadnej żywej istoty. Nie jemy kurcząt ani ryb, bo trzeba by je było często zabijać. A tak mam tylko jedną śmierć rocznie na sumieniu. Mojego jaka. Zawsze proszę go o wybaczenie, dopiero potem zarzynam.

Zwierzę jest w całości zjadane, część mięsa się suszy, część zamraża w himalajskim lodzie. Z kości gotowana jest specjalna, mocno rozgrzewająca zupa, skóra służy do produkcji odzieży i butów, z wełny powstają namioty, koce, kołdry i ubrania. Myślę o straganach z jaczym mięsem i żółtymi blokami masła, które widziałam dziś rano. Tu, z okna restauracji, też widać polcie mięsa z zostawioną tu i ówdzie sierścią. Na środku straganu leży – jak makabryczna reklama – odcięta głowa zwierzęcia.

Właściciel restauracji wniósł na tacy serowe momo z odrobiną śmietany. Wgryzając się w miękkie, ciepłe ciasto, myślałam o leniwych z serem serwowanych w jednym z krakowskich barów mlecznych, który nie przetrwał okresu transformacji i pod koniec lat 90. został zlikwidowany. To zadziwiające, że tamten słodki, maślany smak powrócił do mnie tu, w sercu Lhasy. Podróżował do mnie tysiące kilometrów, wzdłuż jedwabnego i herbacianego szlaku.

Maja Wolny – pisarka, autorka powieści, bestsellerowych Czarnych liści, Powrotu z Północy i najnowszej Jasności, a także kryminałów (Księgobójca – belgijska nagroda Herkulesa Poirota), dziennikarka, kuratorka wystaw. Mieszka w Kazimierzu Dolnym, wiele lat spędziła w Belgii. Uwielbia podróże.

MANDO